ROK DRUGI.

№ 47.

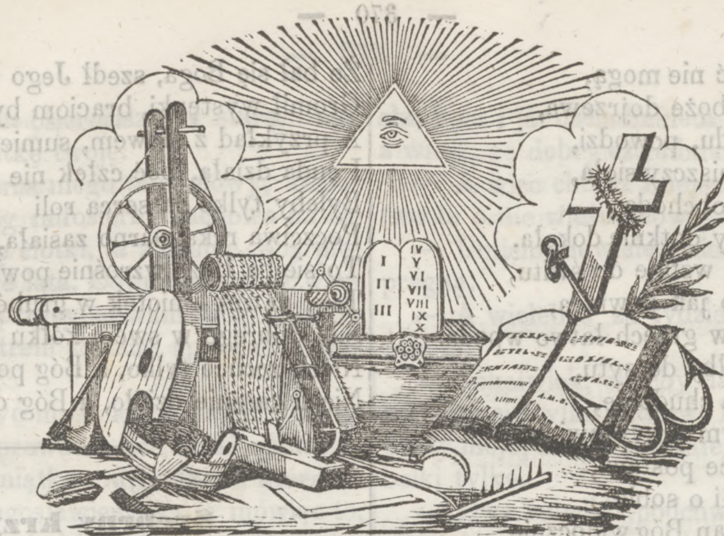
Warszawa.

Dnia 10 (22) listopada.

1857.

Niedziela

24 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszystko, coby się zdawało do szczęścia i pokoju przydatnem, niczem jest bez Boga, i żadnéj prawdziwéj szczęśliwości nie przynosi. On jest końcem i szczytem wszelakiego dobra, treścią życia; w Nim nadewszystko pokładać nadzieję, jest najmocniejszą pociechą. (O naśl. Chr. K. 3. R. 59).

Każdy siła dobrego w swojém kółku może.

—

W wiejskiém ustroniu mieszka Jan siwy,
A ludzie o nim roznoszą dziwy,
Że ten staruszek za święte cnoty
To chyba żywcem pójdzie do Nieba;
Bo sam ubogi, a dla sieroty
Odda ostatni kawałek chleba,
I choć zgrzybiały, przecież dla brata,
Kiedy o jaką posługę idzie,
Chętnieby pobiegł na koniec świata,
Byle mu pomódz w smutku lub biédzie.
A gdy zasłyszy, że gdzieś chudzina
Skrzywdzon niewinnie, to nad nim płacze,
Jakby nad krzywdą własnego syna;
Takie w tym człeku serce prostacze.
A przyjść do niego, co tam radości,
Jak się Jan krząta, służy, weseli,
Serce otwiera dla miłych gości,
Jak to dawniejsi ludzie umieli.
A niech się zwada sąsiedzka wznieci,
Zaraz tam starzec o kiju bieży,
Jak zacznie prawić, że to my dzieci
Jednego Ojca, jednéj Macierzy,
Gniew, by wosk mięknie, winny się sroma,
Jakby go zganił ksiądz na spowiedzi;
Wnet się uścisną zwadni sąsiedzi
I przyjaciołmi wracają doma.
Niech się kto w wiosce jeno upije,
Jak przed sumieniem przed nim się kryje.
Jan nigdy wódki w usta nie bierze,
Gromi pijaków, bo to od wódki,
Jak zawdy mawia, i rozum krótki,
I człowiek przez nią zmienia się w zwierzę,
Nie dba o braci, duszę zaprzeda.
I prawdę mówi: kto w karczmie mieszka,
Ostatni grosik wytrzęsie z mieszka,
A w domu kłótnie, nędza i bieda.
Niech ino w jakiéj wiosce dalekiéj
Syn na chorobę zapadł obłożną,
Matka do Jana spieszy po leki
I o modlitwę prosi pobożną;
Bo jego prośba przy łasce Bożéj
Zdrowie powróci i sił przysporzy.
Jan nie pomstuje, nie klnie nikogo,
Ale przy pracy godzinki śpiewa;

To też sąsiedzi pojąć nie mogą,
Że jemu wcześniej zboże dojrzewa,
Że każda klęska gradu, powodzi,
Pomorku bydła, co niszczy sioła,
Zagrodę Jana zdala obchodzi,
Choć wszystkie chaty dotknie dokoła.
Jan, choć staruszek, wstaje do świtu,
Orze, drwa rąbie, bo jak powiada,
Kto się próżniaczy, w grzech łatwo wpada.
I chleba z pracy miałby do sytu,
Lecz co zarobi, odda chudobie,
Nakupi leków, chorym przyprawi,
Albo *Figurę* w wiosce postawi,
A już na końcu myśli o sobie.
Oj! kocha'ć też go Pan Bóg widocznie
I błogosławi, co jeno pocznie.
Ojca w nim widzi i ludowina,
Co stary powie, w to święcie wierzy,
W smutku, w przygodzie do niego bieży,
A on każdego kocha jak syna.
I chcąc, czy nie chcąc, rada, nierada,
Za głosem Jana idąc gromada,
Tak się zmieniła w niedługim czasie,
Że lud z okolic dziwi się, gwarzy,
Iż tam karczmisko na nic nie zda się,
Bo wszyscy trzeźwi: młodzi i starzy.
Ale w niedzielę za to w kościele
Nie brak nikogo, każdy się korzy,
A doma strzeże bojaźni Bożéj,
Żeby przed starcem stanąć mógł śmiele.
Młodzież stateczna, skromne dziewczęta,
Każdy sześć dzionków nad pracą potnie,
A siódmy spędza trzeźwo, ochotnie.
W chałupach schludnie, jakby od święta,
Czysto dokoła, jak zwykle bywa,
Gdzie serca czyste i myśl poczciwa.
W téj wsi nie spotkasz klątew i kłótni,
Wszyscy weseli, bo w świętéj zgodzie;
A jak jednemu smutek dobodzie,
To wszyscy bratniem nieszczęściem smutni.
Sąsiad sąsiada kocha tam czule,
A już dla nędzy zdjąłby koszulę.
Sami przyznacie, Jana zasługa
Wielka przed Bogiem za tę gromadkę.
A któż on taki? Kmiotek od pługa,
Ma ubożuchną, chruścianą chatkę,
I sam ubogi, schylony laty;
Nieraz głód cierpi, śpi na barłogu,
I nienauczny, nie ma oświaty,
A tak po sercu ludziom i Bogu.
I sekret cały, że kochał ludzi,
Że bał się Boga, szedł Jego torem,
Gromił występki, braciom był wzorem,
A przykład z słowem, sumienia budzi
I cuda działa, boć człek nie skała;
Byleby tylko na serca roli
Poczciwa ręka ziarno zasiała,
To siejba Boża wzrośnie powoli.
Tak, nawet kmiotek w grubéj opończy
Siła dobrego w swém kółku może;
Niech zechce tylko, a Bóg pomoże,
Niech zacznie dzieło, a Bóg dokończy!

Srebrny krzyżyk.

I.

W cichym i ustronnym domku, nad brzegiem jeziora, siedziała kobieta blada i wychudła, znać niedawną dotknięta słabością, a chłopak wyrostek kończył robotę około butów. Cisza i spokój zaległy wokoło. Lżéj oddychała pierś matki, patrzącéj na uczciwą skrzętność syna, pracującego na zaspokojenie jéj potrzeb i wygód należnych wiekowi.

Po chwili Kaźmirek, takie było imię owego chłopca, wstał od roboty, a ucałowawszy ręce matki, pójdę, rzekł teraz, odniosę do miasta robotę, niedługo wrócę. Cóż ci mam przynieść z miasta kochana matko?

— Nic więcéj drogie dziecię, kup mi tylko chleba.

Przy tych słowach chłopiec pożegnawszy staruszkę, wesół i szczęśliwy, że matkę zdrowszą widział, pobiegł do miasta, śpiewając przez drogę.

I niedługo powrócił poczciwy Kaźmirek, złożył matce rachunek, a potem zaczął jéj rozpowiadać różne nowiny z miasta, jakich się w swéj drodze dowiedział. Między innemi, opowiedział on historyę o jednéj kobiecie, która przed parą laty biedna wdowa wyprawiła syna do Warszawy, a dziś jest szczęśliwą, nie czuje żadnego braku, bo syn pracuje na jéj potrzeby.

— Więc droga matko, mówił daléj Kaźmirek, i ja tak zrobię; w mieście dużem łatwiéj o robotę, lepszy zarobek, a tu i praca rzadko się trafia, i lubo mozolę się i trudzę, gdy z tygodniowego zarobku kupię soli, kawał chleba, to i już ręce gołe, i praca moja jak woda sitem mierzona: nigdy jéj nie znać.

— Ależ mój synu osierocisz mię starą, i nad grobem stojącą matkę twoję.

— O! nie rań serca mego temi słowy, odpowie Kaźmirek, Bóg miłosierny zachowa mi cię w zdrowiu; uproszę ciotki, ta zostanie, aby pielęgnowała twe stare lata. Co miesiąc trzy czwarte mego zarobku przysyłać wam będę, a kiedy się wyzwolę i majstrem zostanę, sprowadzę was do siebie.

— Kiedy tak być musi, idź w świat dziecię drogie, niech Bóg prowadzi twe kroki. Masz oto najdroższą pamiątkę od matki, z którą na ciebie zlewam błogosławieństwa, i mówiąc to, włożyła na szyję Kaźmirka własny swój *srebrny krzyżyk*.

Niech to godło świętości najwyższéj będzie dla ciebie obroną przeciwko wszystkim złym nagabaniom i pokusom świata. Ile razy uczujesz się słabym, chwiejącym, lub nieszczęśliwym w życiu, ile razy boleść jaka lub gorycz dotknie twoje serce, ucałuj ten krzyżyk, westchnij do Boga i wspomnij na twą kochającą cię matkę, a Bóg cię oświeci i poprowadzi.

Kaźmirek ukląkł i we łzach cały słuchał z rozrzewnieniem czułych słów matki, przyrzekał pełnić jéj pełne miłości rady, a uściskawszy ręce dawczyni życia swego, pocałował krzyżyk i puścił się w drogę.

II.

Kaźmirek wśród łez i rozrzewnienia, pod błogosławieństwem matki szedł w swoję podróż; niekiedy wspomnienie o rodzinnym domku ścisnęło jego serce, aż tak wędrując, ujrzał zdaleka Warszawę, miasto duże, jakiego nigdy w swem życiu nie widział. Jakieś przeczucie uderzyło jego serce; pochmurniał, posmutniał, wyjął srebrny krzyżyk, ucałował go, a westchnąwszy głęboko, poszedł daléj, i niedługo przebył już rogatki miejskie.

Tu nowy widok uderzył oczy jego—gapił się biedny chłopiec wśród gwaru i zgiełku, aż nieznacznie zbliżył się do niego jakiś nieznajomy.

— Musisz być chłopcze pierwszy raz dziś w Warszawie, że cię tak wszystko zajmuje?

— Tak jest, pierwszy raz przyszedłem do stolicy szukać pracy; jestem z professyi szewcem, chciéj mi w tem pomódz bracie kochany.

— Bracie! bracie—jakiżeś prostak, odrzekł nieznajomy; u nas się inaczéj mówi. Ale potem o tem—dobrze, że jesteśmy oba jednego rzemiosła, bom i ja czeladnikiem kunsztu szewckiego, a wiesz, że dobry czeladnik za majstra stanie.

— A więc chcesz miejsca? — ho! ho! niełatwo tu o nie wieśniakowi. A umiesz co?

— Umiem niewiele, ale się reszty douczyć pragnę.

— A wielebyś za tydzień chciał mieć zapłaconem?

— Cokolwiek, choćby darmo nawet z początku, aby się tylko zawiesić i wyżyć; bo oto z podróży mojéj zostało mi całego bogactwa dwa rubelki tylko.

— Dwa rubelki? podchwycił nieznajomy, to niewiele. Ale mój przyjacielu bardzo to trudno będzie o miejsce człowiekowi, który nosi takie suknie jak ty; majster żaden nie chciałby i spojrzeć na ciebie, powiejsku ubranego.

— Coż więc mam czynić?

— Nie wiem mój chłopcze—ale.. ale... poczekaj. Kiedym cię zasmucił, to cię i pocieszyć muszę. Oto weź mój surdut, będzie to jakoś łatwiéj i gładziéj.

Kaźmirek z początku wahał się, serce go bolało zrzucać swą ubogą, ale czystą wiejską sukmankę. O! i miał słuszność, ze zmianą kroju i barwy przerabia się człowiek cały, naprzód zwierzchu, a potem z gruntu.

Ale biedny chłopczyna ulegając perswazyom wiejskiego franta, ze łzami prawie rozstał się z swą sukmanką, i włożył surdut brukowego hulaki.

Odtąd też zaczęło się pasmo jego cierpień. Zaraz usłużny przyjaciel Kaźmirka już przestrojonego powarszawsku, zaprowadził tam, gdzie się, jak upewniał, zbierają majstrzy i czeladnicy, aby go z nimi zapoznać.

Obszerna sala otworzyła się przed nimi—pełno tu ludzi, krzyk, gwar i tańce, muzyka gra nieustannie; liczne pary, w różnych ubiorach przesuwają się naokoło. Biednemu chłopcu aż się w oczach mieniło. Wir ogólnéj uciechy porwał i młode serce Kaźmirka; zaczął hulać za innymi, aż nad ranem przy końcu ostatniego tańca pokazała się kieszeń zupełnie pusta.

Nazajutrz dopiero około południa przebudzili się nasi tancerze; nowy przyjaciel zaprowadził Kaźmirka do znanego majstra szewckiego. Ten wypytawszy chłopca, co umie, przyjął go do swego warsztatu za bardzo małem wynagrodzeniem; ale cóż, kiedy głowa po hulance cięży, a ręce słuchać nie chcą.

Czeladnik dał znak Kaźmirkowi, i niedługo znaleźli się znowu na owéj tańcującéj sali. Jak tu hulano i bawiono się, opisywać nie będę, powiem tylko, że naszego Kaźmirka nad ranem widziano śpiącego na ławie szynkowéj.

III.

Ale sumienia niczem nie zagłuszysz. Dobre serce Kaźmirka, w którego czuła matka wpajała pobożność i cnoty, odezwało się dzisiaj z całą swoją mocą. Bo oto teraz wśród tańców i hulanki, stanął sobie na boku, posmutniał i zamyślił się głęboko.

— O czemże tak dumasz Kaźmirku, pytają go na wszystkie strony? Wstydź się, nie należy młodemu być smutnym, gdzie tyle uciechy i zabawy.

— Nie masz dziś, to zapłacisz jutro, dodał drugi.

— A co dziś przehulasz, to jutro zarobisz, odezwał się inny.

— Oj nie! nie! moi przyjaciele, dziś nic mego smutku rozpędzić nie zdoła. Miałem téj nocy sen bardzo niewesoły; serce moje przeczuwa coś niedobrego—może moja kochana matka chora, a może w nędzy i samotności!

— Ha! ha! odezwały się zewsząd głośne śmiechy.

— Patrzcie, mówił jeden, mały Kaźmirek zatęsknił za mamą.

— Może przypomniał sobie pług i brony, za któremi biegał, dodał drugi.

— A może i bydełko, co wypasało cudze zboże—oj! ta wiejska swoboda.

Wystawiony tak na śmiech swych towarzyszy, biedny chłopiec, nie mając dosyć siły, by stanąć przeciw tym niedorzecznym słowom, dla fałszywego wstydu porzucił rozmyślanie, i puścił się w wir ogólnéj uciechy; pił a hulał, aż nad ranem znów zasnął, ale już dziś pod ławą. Obudziwszy się, spostrzegł smutny obraz—głucho teraz było, gdzie wprzód huczała muzyka; wszędzie nieład i zmęczenie. Ten zalany trunkiem, leży bez czucia, twarz blada, oczy zapadłe, włos rozrzucony; ów przez sen coś niezrozumiałego plecie—pusto, smutno i okropnie dokoła.

Widok ten zrodził w sercu Kaźmirka jeszcze niezupełnie zepsutem niewypowiedziany żal i trwogę; przypomniał sobie matkę, jéj przestrogi, jéj łzy. Chciał pochwycić *srebrny krzyżyk*, przytulić się do niego, ucałować i rozpędzić grożące burze życia. Sięgnął poń, ale darmo... krzyżyka nie było.

Zaczął więc biegać i wołać: gdzie mój krzyżyk?—oddajcie mi go, to najdroższy skarb mój. Wielu się pobudziło, ztąd swary, krzyk i wrzawa. Na to wszystko wpada gospodarz, a widząc, że tego hałasu powodem stał się Kaźmirek, ujmuje go za kołnierz i za drzwi wyrzuca.

Teraz dopiero biedny chłopiec uczuł całą okropność swego upadku; chciał płakać, ale łza, ta posłanniczka czystego serca, z niechęcią źrenice jego wilżyła.

IV.

Zepsucie jest jak przepaść: gdy się raz noga człowiekowi powinie, leci on bez ratunku, aż do dna dostanie.

Tak się i z Kaźmirkiem stało. Zasmakowawszy w wolnem i hulackiem życiu, choć nieraz płakał nad sobą, nie miał przecież tyle siły, aby się zupełnie otrząsnąć ze zgubnego nałogu.

Usunięty z warsztatu swojéj professyi, chodził on na zarobki, a zapracowany pieniądz wieczorami puszczał w szynku na hulanki.

Raz, podobnym zwyczajem, Kaźmirek wybladły i wychudzony wchodził do znajomego szynku, gdy stara żebraczka, siwizną pokryta, wyciągając doń drżącą rękę,

—Zlituj się choć ty nademną, rzekła do przechodzącego, daj kawałek chleba; jeszczem dziś nic prawie nie jadła. O! gdybym znalazła syna mego, którego tak dawno szukam—i przy tych słowach nieszczęsna staruszka gorzkiemi zalała się łzami.

Kaźmirek poznał w żebraczce matkę swoję starą, lecz ona go nie odgadła, tak był zmienionym; serce mu się ścisnęło, tchu zabrakło na ten widok straszny i bolesny. W pierwszéj chwili chciał upaść jéj do nóg i błagać przebaczenia, ale bojąc się, aby to nagłe spotkanie nie uderzyło niespodzianie na jéj rozbolałe serce, zapytał drżącym głosem:

— A dawno już szukacie waszego syna?

— Już od 3-ch miesięcy włóczę się po tym bożym świecie, i po bruku poniewieram swoje stare kości.

—Oto macie moja babko złotówkę, nie traćcie nadziei, ja wam syna wynajdę.

— A gdzież sypiacie, ja was odprowadzę.

— Ot pod tamtym murem na kamieniu siadam, a gdy noc nadejdzie, mam przytułek u stróża w owéj kamienicy, gdzie przy drzwiach kładę moje kości.

Wzruszony, zawstydzony chłopiec uspokajał jak mógł rozbolałą matkę i zapewniwszy, że jéj syna wynajdzie, odszedł blady, drżący, z rozdartem sercem i niepohamowanym żalem, którego nawet łza ochłodzić nie chciała.

V.

W tak smutnym stanie uciekał Kaźmirek, oczy zasłaniając od nędzy, którą widział, i naprzód zaszedł do dawnego majstra, prosząc o robotę. Lecz majster, znając złe nałogi Kaźmirka, miejsca mu u siebie odmówił.

— Panie! odpowiedział biedny chłopiec, zbłądziłem, wyznaję to szczerze, ale dziś chcę się poprawić; pomóż mi w tém, ja chcę pracować na kęs chleba dla mojéj biednej staréj matki, która o kiju chodzi po żebraninie, a z mego powodu—o! Boże, Boże!, i tu łzy żalu deszczem pociekły po wybladłych licach.

Majster rozrzewniony prawdziwym żalem chłopca, bo wszystko oprócz łez człowiek zmyślić może, przyjął go wreszcie do swego warsztatu i Kaźmirek rzucił się z całym zapałem do pracy.

Aż tu wchodzi do warsztatu dozorca policyjny i pyta, czy tu pracuje Kazimierz Dratewka?

— Tu, odpowiedział przelękniony chłopiec, a cóż za interes macie do niego?

— Téj nocy złapano szynkarkę ze *Srebrnéj sali* na kradzieży; między zabranemi przedmiotami znalazł się srebrny krzyżyk—ten wedle oświadczenia zatrzymanéj, ma należéć do Dratewki, któremu go, gdy był pijanym, z szyi zdjęła.

Kaźmirek na te słowa struchlał, pobiegł zaraz do ratusza, a mając sobie przedstawiony do uznania krzyżyk srebrny, Boże mój, Boże wielki! zawołał, kiedy Cię szukam, Ty idziesz na moje spotkanie, aby mię wyrwać z przepaści. O! tak, tak, to jest mój ten srebrny krzyżyk— oddajcie mi go, to mój skarb największy.

Po udowodnieniu własności Kaźmirek zabrawszy krzyżyk, wracał szczęśliwy do warsztatu, wlepiając ciągle wzrok w to godło najwyższej świętości, w te bolejące rany Zbawiciela, aby niemi uleczyć boleść własnego biednego serca.

—

Tu znowu rozpoczął swą pracę i po tygodniowym obrachunku dostawszy zapłatę, pobiegł do staruszki, która go u stróża oczekiwała.

Po drodze wstąpił do kościoła, gdzie właśnie ksiądz czytał ewangelią o synu marnotrawnym. Tu już skrucha do łez go zmiękczyła; wybiegł ze świątyni, przeleciał ulicę, a rzuciwszy się do nóg ukochanéj matce, wyznał, że on jest jéj Kaźmirkiem — miłość macierzyńska przytuliła go do serca, które on dawniej osierocił i wszystek żal i wszystkie zobopólne troski stopiły się we łzach i uścisku rodzicielskim.

—

Po tym rozczulającym wypadku Kaźmirek już z matką powrócił do swego majstra, opowiedział mu ze łzami całą historyą, przyznał się do winy, i prosił dalej o miejsce, aby mógł teraz pracą i zarobkiem swym osłodzić ostatki życia swej ukochanej matce.

Majster człowiek rozsądny i pełen serca, poznawszy uczciwy grunt Kaźmirka, u siebie go zatrzymał.

—

We 2 lata po opisanych wydarzeniach, kiedy Kaźmirek przez swą pracowitość zjednał sobie zaufanie majstra, oddał mu swą córkę Zofię za żonę, zdał na niego warsztat cały, a w posagu zapisał mu piękną kamienicę.

I wtedy to uszczęśliwiona matka przy nim pędziła w wygodach stare swoje lata, a Bóg błogosławił całéj tej uczciwéj rodzinie.

Rozmowa o Jeografii.

III.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Cz. 43).

—

Dotrzymując obietnicy, danéj swym dzieciom, Wybranowski w następną niedzielę, zasiadłszy z niemi w gaju nad Wisłą, 'tak się do nich odezwał: Otóż miałem pomówić z wami jeszcze o Jeografii i zacząć od opisania gubernij, między któremi pierwsze miejsce zajmuje *Warszawska*.

Staś. Dlaczego pierwsze miejsce, czy dlatego, że my w niej mieszkamy?

Ojciec. Gdyby dlatego, toby może należało ją położyć na ostatniém miejscu; ale widzisz, w każdej gubernii jest jedno miasto główne, w którém mieści się jéj ogólny zarząd, a że zarząd gubernii Warszawskiéj mieści się w stolicy całego kraju, w Warszawie, więc i gubernię naszą także za najważniejszą uważać należy. Powtóre, Warszawska jest ze wszystkich największą; tak od Lu-

belskiéj większą jest o sto mil kwadratowych, od Radomskiéj przeszło o dwieście, od Augustowskiej jest dwa razy większą, a od Płockiéj nawet więcéj niż dwa razy, bo kiedy Warszawska ma rozległości 672 mile kwadratowe, Płocka ma tylko 303. Potrzecie, jest też ona i najludniejszą, bo ma półtora miliona mieszkańców i to nie licząc Warszawy, wtedy kiedy Płocka mało co więcéj ma jak pół miliona. Dlatego więc Warszawską Gubernię kładziemy na pierwszém miejscu.

Jaś. Tata powiedział, że jest półtora miliona, nie licząc Warszawy, a ileż jest mieszkańców w Warszawie.

Ojciec. Warszawa ma ich 156 tysięcy.

Jaś. I cóż ci wszyscy ludzię robią tak w jedno miejsce zebrani?

Ojciec. Wszyscy pracują, to na siebie, to na innych, bo społeczeństwo ludzkie próżniaków nie cierpi. Tak duchowieństwo poświęca się służbie Bożej, odprawia nabożeństwo, naucza lud z ambony w kościołach, lub też uczniom wykłada prawidła naszéj świętéj wiary w szkołach; a księży musi być dużo w Warszawie, kiedy samych kościołów w niéj jest ze 40.

Jaś. A który kościół jest najdawniejszy w Warszawie?

Ojciec. Z tych, które dzisiaj istnieją, najdawniejszym jest katedra Śgo Jana, bo o niéj jest wzmianka z roku 1250, kiedy na tém miejscu stał mały drewniany kościołek, który dopiéro w r. 1313 stał się parafialnym.

Jaś. To kiedy katedra liczy już przeszło 600 lat istnienia, to pewno Warszawa jest jeszcze starszą od niéj?

Ojciec. Zapewne; ale kiedy założono Warszawę, o tém z dokładnością nie wiadomo; zawsze jednak istnieje już przeszło 600 lat i pierwszą wzmiankę o niéj czytamy pod rokiem 1224. Prócz katedry Śgo Jana ma Warszawa i inne ładne kościoły, jak naprzykład Śgo Krzyża—kościół ten był zrazu małą kaplicą, zbudowaną koło roku 1520, rozszerzano ją powoli, a w sto lat później, mianowicie w r. 1626 zamieniono na kościół parafialny.

Prócz kościołów, które pobożność ojców naszych wzniosła, Warszawa ma dużo zakładów dobroczynnych, które się utrzymują z dawnych zapisów, lub też z ofiar rządowych i prywatnych.

Tak przy kościele Panny Maryi jest szpital miejski dla ubogich wiekiem znękanych, najdawniejszy w Warszawie, bo już z pół tysiąca lat istniejący; jest szpital Dzieciątka Jezus, o którym czytaliście w 1szym numerze Czytelni z roku zeszłego, szpital Śgo Rocha, Śgo Jana Bożego dla obłąkanych i inne.

Jaś. Prócz duchowieństwa jakież są inne stany w Warszawie?

Ojciec. Stan urzędników, pracujący w biurach, nauczycieli w szkołach, kupców w sklepach, wreszcie fabrykantów, rzemieślników, nakoniec jest w Warszawie wiele i takich osób, które mieszkają w niéj tylko dla przyjemności.

Jaś. A czy dużo szkół w Warszawie?

Ojciec. Szkoły dzielą się na wyższe, czyli akademije, średnie czyli gimnazya, niższe czyli powiatowe i nakoniec na elementarne, czyli szkoły dla początkujących. Otóż akademij w Warszawie dwie: akademia duchowna Rzymsko-katolicka, w któréj kształcą księży, i akademia Medyko-chirurgiczna, z któréj mają wychodzić lekarze i aptekarze; gimnazyów dwa, Instytut szlachecki jeden, kilka szkół powiatowych i mnóstwo elementarnych. Wreszcie więcéj szczegółów o Warszawie przytaczać wam nie będę, boście już mieli w Czytelni historyę Warszawy, a poczekajcie, to i więcéj wam o niéj napiszą. Mieliście też już opisy i okolic Warszawy: Czerniakowa, Bielan, Wilanowa, a poczekajcie, to przeczytacie o Łazienkach Królewskich, Marymoncie, Mokotowie, Woli, Królikarni i innych.

Jaś. A prócz Warszawy jakie są jeszcze miasta w gubernii Warszawskiéj?

Ojciec. Gubernja Warszawka podzieloną jest na 12 powiatów i miast powiatowych jest w niéj 11, bo zarząd powiatu Warszawskiego jest w Warszawie. Jedenaście powiatów leży z lewéj strony Wisły, a jeden mianowicie Stanisławowski z prawéj. Miasto główne powiatu Stanisławowskiego nazywa się *Mińsk;* jestto małe miasteczko, w którém wszystkiego 1200 mieszkańców, z tych większa połowa żydów, a jednakże stare to miasto, bo ma przeszło 400 lat istnienia.

Wszystkie inne powiaty, jak wam powiedziałem, są z lewéj strony Wisły. A naprzód, gdybyście koleją żelazną jechali z Warszawy do Częstochowy, moglibyście wstąpić do *Łowicza*, bo ten leży o kilka mil tylko w bok od stacyi Skierniewice, z którą połączony jest koleją żelazną. Tambyście podziwiali kościoły starożytne, szczególniéj kościół kollegiaty, założony w roku 1100, w tedy, kiedy Łowicz był małą wioseczką, bo do rzę-

du miast należy on dopiero od pół tysiąca lat, tojest 1355 roku. Obaczylibyście tam i kościół księży Pijarów, ufundowany przed dwustu blisko laty przez włościanina z Bobrownik, Wojciecha Zimnego, ale dotąd nieukończony; zwiedzilibyście świątynie Ojców Dominikanów, Bernardynów i inne. W kościele kolegiaty, stojącym w rynku, obaczylibyście mnóstwo marmurowych grobowców, w których złożone są zwłoki dziesięciu Prymasów.

Jaś. Co to Prymasów?

Ojciec. Najdawniejszem biskupstwem na ziemi polskiéj jest Gnieznieńskie w Wielkopolsce, czyli w dzisiejszém wielkiem księztwie Poznańskiem, bo założone w tymże roku, w którym Mieczysław I książę polski wiarę chrześciańską przyjął, a będzie temu bez ośmiu 900 lat, bo w roku 965. We 35 lat późniéj, w roku 1000, kiedy panował syn jego Bolesław Wielki, przybył do Gniezna Cesarz Niemiecki Otton trzeci, żeby i sąsiada odwiedzić i na grobie Sgo Wojciecha się pomodlić, bo ten święty był za życia przyjacielem i Cesarza Ottona i króla Bolesława. Zwłoki jego od Prusaków przez Bolesława wykupione, złożone były w katedrze Gnieznieńskiéj. Cesarz chcąc uczcić świętego, wyniósł katedrę na metropolią całego Królestwa, i odtąd Biskup Gnieznieński stał się najstarszym ze wszystkich biskupów polskich, metropolitą, arcybiskupem.

Chociaż Bolesław późniéj stolicę swoję przeniósł z Gniezna do Krakowa, Arcybiskup Gnieźnieński pozostał jednak najstarszym biskupem, a gdy po upływie kilku stuleci królowie polscy z dziedzicznych przeszli na wybieralnych, Arcybiskup Gnieźnieński między śmiercią jednego króla, a obiorem drugiego sprawował najwyższą władzę w kraju i ztąd nosił tytuł Prymasa, co znaczy: *najprzedniejszego.*

Otóż nasz Łowicz był własnością Arcybiskupów Gnieźnieńskich, którzy w nim często przebywali, a mając dwór liczny i żyjąc wystawnie, przyczyniali się do wzrostu i pomyślności miasta. W roku 1433 kościół parafialny wyniesiony został na kollegiatę, przy któréj jest kapituła, zostająca obecnie pod władzą Arcybiskupa Warszawskiego. Przed kilkuset laty kanclerz koronny Jan Łaski całkiem żydów wyrugował z Łowicza, ale dzisiaj na 5 tysięcy mieszkańców tego miasta znowu tysiąc ich się zebrało.

Jaś. Czy to w tym Łowiczu słynne jarmarki?

Ojciec. W tym samym; a z kilku jarmarków, które się w nim corocznie odbywają najsłynniejszy jest na Śty Mateusz, to jest 21 Września.

Jaś. Niech mi tato powie, w jakim celu zaprowadzono jarmarki?

Ojciec. Początkowo jarmarki były skutkiem potrzeby; ludność okolic była niewielka, sąsiedztwa dalekie, drogi złe, a tu gospodarzowi potrzeba to konika, to krówkę kupić, albo też sprzedać to, czego się ma podostatkiem; więc jakże postąpić nalażało?—oto obrano jeden, lub kilka dni w roku i ogłoszono, że w te dnie naznacza się zjazd z miejsc okolicznych, aby każdy, kto ma co do kupienia lub do sprzedania, przybywał do miasta, będąc pewnym, że za pieniądze wszystkiego dostanie i wszystko też sprzedać może. Takie targi naznaczono zwykle na dnie uroczyste, kiedy lud i bez tego do miasta pospiesza na odpust. A że w czasach najdawniejszych zwykle targi takie odbywały się raz na rok i to w dzień S. Patrona, pod którego wezwaniem kościół w mieście był wzniesiony, więc i nazwano je z niemieckiego *jarmarkami*, to jest targami rocznemi, czyli kiermaszami od *Kirch-messe*, to jest msza, nabożeństwo kościelne. A że za jednym razem trudno sobie zrobić zapasów na cały rok, więc potworzono w miastach więcéj jarmarków, w różnych porach roku, to wiosną, to latem, to zimą, to jak na Śty Mateusz, w jesieni. Ale niedługo potrzeba wyrodziła się w zbytek i nadużycie; bo właściciele miast mając z jarmarków dochód wielki, gdyż i propinacya szła w górę i handel żydowski wzrastał, zaczęli mnożyć liczbę kiermaszów, a chłopek kontent, że się przejdzie i na świat Boży popatrzy, i na ludzi pogapi, i historyjek nasłucha, zaprzęgał szkapinę, zabierał wieprzaka lub cielę na sprzedaż, i z żoną zdążał czemprędzéj na jarmark; a gdy kilka dni tam zabawił, sprzedawał zwykle wieprza i cielę, często nawet wózek i konia, i pieszo wracał do domu, mając w zysku co najwięcéj korale dla żony i guzy. gdzieś w karczmie odebrane na czole.

Jaś. To jarmarki nie są pożyteczne? a ja sądziłem, że przez nie właśnie handel rośnie, przemysł się rozwija.

Ojciec. Jarmark jeden raz do roku na okolicę nie jest szkodliwy, ale jarmarki częste dowodzą tylko naszéj ciemnoty, oddają lud nasz w ręce szalbierzy i przyczyniają się do ubóstwa całego kraju. Zrozumieli to niemcy oddawna i poka-

sowali po swych miasteczkach jarmarki, a za to we wszystkich wsiach pozakładali sklepy, w których codziennie dostaniesz wszystkiego, co może być włościaninowi potrzebne—znajdziesz w nich kosy, sierpy, brony, smołę, nici, sznury, igły, tasiemki, nawet cukier i kawę. A chłopek mając wszystko pod ręką, nie potrzebuje jeździć do miasta, i za oszczędzone długo pieniądze może sobie przy niedzieli i szklankę kawy wypić i kufelek piwa wypróżnić.

Jaś. Ale przecież włościanie nie potrzebują aż tylu rzeczy, żeby się kupiec jaki mógł z saméj sprzedaży przy nich utrzymać.

Ojciec. W mniejszych wsiach wszystkie te rzeczy powinien mieć u siebie dziedzic, czy tam rządca, tak, jak to się dzieje na całym świecie i te rzeczy na żądanie sprzedawać z niejakim procentem. Wreszcie, oto zagadaliśmy się o jarmarkach, a zapomnieliśmy o Łowiczu.

Jaś. A przez jakież jeszcze się miasta przejeżdża, kiedy się jedzie koleją żelazną?

Ojciec. Przez *Piotrków* i *Częstochowę*.

Jaś. Ach, o Częstochowie, o Częstochowie naprzód.

Ojciec. Jakto, więc nie pamiętasz już tego, cośmy w roku zeszłym w Nr. 22 Czytelni Niedzielnéj o Częstochowie czytali? Jeżeliś zapomniał, to wróciwszy do domu, jeszcze raz sobie przeczytaj. Ja ci tu tylko powiem w krótkości, że miasto Częstochowa leży blisko rzeki Warty, że chociaż ma koło 9ciu tysięcy ludności, jednak powiatowém nie jest, lecz należy do powiatu Wieluńskiego, w którym główne miasto Wieluń, więcéj niż dwa razy mniejsze od Częstochowy. Daléj, że w bliskości miasta wznosi się na górze klasztor Jasnogórski, słynny cudownym obrazem Matki Boskiej.

Jaś. Czy ten klasztor bardzo starożytny?

Ojciec. Nie tak bardzo, bo nie istnieje jeszcze i pół tysiąca lat. Założył go w roku 1389 Władysław Książę Opolski, za czasów króla polskiego Władysława Jagiełły. W kościele Jasnogórskim przodkowie nasi w każdéj potrzebie zasyłali modły do Matki Najświętszej, która im nigdy nie odmawiała swego przyczynienia się, a najwidoczniéj dopomogła im przed dwustu laty, kiedy w roku 1655 Szwedzi klasztor oblegli i zupełnem zniszczeniem mu zagrażali. Wtedy to przeor księży Paulinów Augustyn Kordecki, tyle swym przykładem sprawił, że szlachta nietylko klasztoru obroniła, ale i szwedów z kraju wyrugowała. Wkrótce wystawiony będzie w Częstochowie pomnik dla uwiecznienia pamięci tego męża natchnionego.

Jaś. A Piotrków, czy także jest z czego sławny?

Ojciec. Dziś niewiele od się różni od innych miast powiatowych, ale dawniéj był bardzo ważnem miastem w Polsce, bo w nim corocznie odbywał się trybunał koronny, to jest sąd najwyższéj instancyi. Z tego powodu często Piotrków nazywają *Trybunalskim* dla różnicy od innego Piotrkowa, leżącego w Kujawach w powiecie Włocławskim. Te trybunały ustanowił król Stefan Batory, a przed nim królowie polscy z domu Jagiełłów obierali Piotrków za miejsce sejmów i sami często w nim przebywali, załatwiając najważniejsze sprawy krajowe. Nakoniec w Piotrkowie miały miejsce i synody, czyli zbory duchowieństwa Polskiego, na których naradzano się nad sprawami religijnemi, naznaczano podatki, jakie miały płacić dobra kościelne dla zasilenia skarbu publicznego przed jaką wyprawą wojenną. Obecnie istnieje jeszcze wiele gmachów, świadczących o dawnéj znakomitości miasta, a co do ludności, to i dziś jeszcze Piotrków do większych miast polskich się liczy, bo ma 10 tysięcy mieszkańców. O innych miastach gubernii Warszawskiéj zostawmy do następnéj Niedzieli.

Koń Kościuszki.

Tadeusz Kościuszko w czasie swego pobytu w Szwajcaryi posłał pewnego razu służącego do miasteczka za sprawunkami, i dla pośpiechu kazał mu wsiąść na swego konia, na którym zwykle swoje przejażdżki odbywał. W parę godzin wraca służący i powiada: jeśli pan mię kiedy jeszcze na tym koniu pośle, to niech mi pan i worek swój da na drogę—gdzie tylko stał przy drodze ubogi, koń przed każdym się zatrzymywał, a póty z miejsca się nie ruszał, aż biedak jałmużnę otrzymał. W połowie drogi już wszystką drobną monetę wydałem, a tu koń wciąż przed ubogimi staje—nie pozostawało mi nic innego, jak tylko udawać, że pieniądze z worka wyjmuję i że je niby biednemu udzielam.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa d. 5 (17) listopada 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*